ROZMAITOŚCI.

Dnia 19. Lipca. **N^er^ 29.** **Roku 1854.**

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 25. 26. 27. 28. Rozmaitości.)

List VI.

Le Chesny 10. Sierpnia.

Wracam z balu; już trzecia godzina po północy: dość smutna awantura zniewala mnie czekać do piątéj godziny. Chcąc niechcąc musisz mi pomódz przepędzić ten czas.

Wracam tedy z balu. Widzę jak się uśmiechasz przeczytawszy to słowo. Wyobrażasz sobie zapewne szczegóły baletu wiejskiego, tańce na murawie, pijanych skrzypków siedzących na wywróconych beczkach, kuchnię pod gołém niebem z wonnemi wyziewami przysmaków, jagnięta rumieniące się na rożnach, nakoniec przełożonego gminy ustrojonego w barwy narodowe przechadzającego się poważnie między tłumem piękności wiejskich... Ale żart na bok. Mieliśmy nie praźnik, ale rzeczywisty prawdziwy bal u hrabiny A... w bliskiém naszém sąsiedztwie. Hrabina A... jest matką hrabiego Fryderyka, najskromniejszego, najmłodszego i najniebezpieczniejszego z trzech muszkieterów, którzy poprzysięgli mą zgubę. Drugi z tych paniczów, Leopold de Laubriand, dzielny myśliwy z rudą głową jak Nemrod, jest towarzysz śmiały i przedsiębierczy, którego niebieskie oko ma pewien wyraz ujmującéj determinacyi, o trzecim niewarto mówić, bo zawsze stał z daleka jak student. Ale muszę ci powiedzieć że podróżował aż do północnego bieguna. Niedawno gdy rozprawiał Zuzannie o tańcu Eskimów, prosiłem go ażeby się przed nami sprodukował tym tańcem. W dobroduszności swojéj uczynił zadość téj prośbie. Pokazuje się tedy że to po prostu taniec niedźwiedzi, jak sobie to wyobrażałem. Odtąd Zuzanna ile razy na niego się popatrzy, śmieje się aż jéj łzy w oczach stają.

Przyjechaliśmy około godziny dziesiątéj. Na piérwszy rzut oka przedstawiał ten festyn widok zwyczajny wszystkich zgromadzeń tego rodzaju. Hrabina A... jest kobiétą wielkiego świata i wszystko co od niéj zależało, było poprawne, ale niektóre toalety kobiét odznaczały się niezwykłą staroświecczyzną. Jakie-to tam były jaskrawe suknie, jakie pstrokoloro-we wstążki, a pióra, a zawoje! Sądziłbyś że jesteś w Bagdadzie.

Pośród tych krzyczących strojów odznaczała się Zuzanna, wyznać to muszę, pojedynczą elegancyą i harmonijnym układem ubioru. Niemasz może w świecie człowieka, coby się mniéj znał na toaletach kobiécych jak ja, i rzeczywiście to do nas nienależy; jednak jeżeli ja powiem że która z kobiét źle jest ubrana, chociaż niepodobna mi powiedzieć dlaczego, to może być pewną że się ubrała niegustownie. Również gdy widzę w ubiorze kobiéty symetryę i harmonię zastosowaną tak do jéj osoby, że się zdaje iż powinna była tak się urodzić i kwitnąć, wtedy powiadam że taka kobiéta dobrze jest ubrana; ale to zdarza mi się rzadko widzieć. — Zuzanna była dobrze ubrana. Przytem to pobożne dziecko trochę bardzo lubi bale i walca. To taniec szalony. Ręczę że go pewnie niewynalazł człowiek żonaty. Co do mnie, przenoszę taniec Eskimów.

W ogóle młode mężatki, to jest, takie co dopiéro niedawno poszły zamąż, bywają cokolwiek zaniedbywane w towarzystwach. Miodowe miesiące są egidą odstraszającą najśmielszych. Niewidać jeszcze pozoru do kopania dołków pod mężem, który jeszcze jest kochankiem. Wyjątkowo, Zuzanna bardzo jest otoczona wielbicielami. Prawda że niewidać między nami ani tego namiętnego nadskakiwania, ani tych ognistych spojźrzeń i stłumionych westchnień, ani tych szeptów na ustroniu, któremi się zdradza w ciżbie stadło zakochane. Ze strony Zuzanny równie jak z méj strony widać tylko wzajemną uprzejmość i nic więcéj, — i to dodaje odwagi młodzieży. Wydaje im się koniecznie że tu jest jakieś wielkie nieszczęście pragnące pocieszenia. Każdy objawia swe uczucia w sposób właściwy: hrabia Fryderyk przybiéra postać sentymentalnego pazia; zapalczywy Leopold odznacza się burzliwością swych demonstracyi, i tak naprzykład unosi dla Zuzanny ogromny fotel nad głowami tłumu słusznie zatrwożonego.

Ha! niechaj pełnią swój obowiązek. Moją powinnością jest zachować neutralność, którą poprzysiągłem Zuzannie i zachowam ją w granicach możliwości, ale przynajmniéj niedam się zajść z nienacka. Śledzę zabiegi i obroty nieprzyjacielskie, i mam się na ostrożności. Niewielka w tém korzyść, jeżeli w odwodzie niema nadziei zwycięztwa! — To mnie jednak cieszy że uwolniony jestem od tradycyonalnego zaślepienia mężów.

Zacnym i prawdziwie miłym młodzieńcem jest Juliusz Bailly, ten młody oficer podobny do ciebie. Zastanowiło mnie gdym go ujźrzał wchodząc do salonu. Wiedziałem wprawdzie że został zaproszony za pośrednictwem Zuzanny, bośmy o tém poprzednio mówili, ale niemniéj wiedziałem że dotychczas nieprzyjmował podobnych zaprosin wymawiając się stanem zdrowia. Sądziłem że się ma już lepiéj i szczérze byłem uradowany. Jednak wnet zacząłem żałować że się znajdował na tym balu.

Już zaraz z początku spostrzegłem że niektóre damy zawojowe w dość głośnych szeptaniach robiły uwagi nad stosunkami familijnemi tego młodego człowieka, który jak wiesz, jest krewnym mego dzierzawcy. Niemogę powiedzieć

żem stanął w jego obronie, bo właściwie mówiąc, czego tu bronić? — ale widziałem się wkońcu spowodowanym przytoczyć kilka czynów wojskowych, któremi się ten młody oficer już odznaczył w Afryce, chcąc tym sposobem uspokoić skrupuły. — Ale gdzie tam! — Była na balu szlachta całego powiatu. Arystokracya wiejska jest bardzo drażliwa... Co do mnie, zwyczajem moim jest oceniać z wyrozumiałością pretensye, których sam wcale niepodzielam, ale widząc w niespokojnych naszych czasach te pretensye objawiające się w czynach exkluzyjnéj dumy i upokarzającéj nietolerancyi, oburzony jestem podobną śmiesznością. — Dajmy temu pokój. — Juliusz Bailly skończył właśnie taniec z Zuzanną. Panna Helena de Laubriand rodzona siostra tego centaura Leopolda, zaangażowana była z Juliuszem do następującego walca: gdy się zgłosił o dotrzymanie przyrzeczenia danego zaledwie przed kilkoma minutami, panna Helena oświadczyła rumieniąc się, że p. Bailly zapewne się myli, że sobie nieprzypomina czy jest z nim angażowana, owszem, że jest zaangażowana na wszystkie walce tego wieczora. Na to miłe oświadczenie, nasz oficer obstaje za swém prawem, dowodząc że istotnie zaangażował pannę Helenę. — Nato nadchodzi p. Leopold i dziwi się naleganiu ubliżającemu starożytnéj prawości Laubriandów. Bailly spostrzega wkońcu, do czego zmierza to odwołanie się do Antenatów. I spoglądając śmiało w oczy panu Laubriand, powiada głosem stłumionym ale tak głośno że można było słyszéć w drugim końcu salonu: Dość tego, mój panie; pojmuję chociaż późno, że niejestem godzien dotknąć się rękawiczki siostry pana, ale spodziéwam się, że mi pan nieodmówisz zaszczytu dotknięcia się rękawiczki pańskiéj. — Mości panie, odparł zimno Laubriand. niemam przyjemności znać go... niebyłoby przyzwoicie przydłużać naszą rozmowę... ale musisz pan tu mieć zapewne jakiego przyjaciela... jestem na jego usługi. — Szmer pochwalający powstał w sali na tą odpowiedź, co jeszcze podwoiło obelgę. Galerya w ogromnéj większości była widocznie za Laubriandem. — Młody oficer powiódł na około siebie wzrokiem obłąkanym: wszystkie rysy jego bladéj twarzy przybrały wyraz okropnego bolu. Było-to najwymowniejszém, najusilniejszém błaganiem o pomoc. Nikt się nieruszył z miejsca, nikt widać niemiał odwagi pospieszyć w pomoc opuszczonemu. — Ja byłbym przyszedł natychmiast; ale stałem z daleka i trudno mi było oswobodzić się od ręki Zuzanny, która podczas całéj téj sceny mimowolnie trzymała moje ramię. — Oto jest przyjaciel, którego pan żądasz, rzekłem przystępując do Laubrianda. — Panie Bailly, dodałem, proszę nieodmawiać mi tego tytułu i przyjąć moje szczére usługi. — Zacny młodzieniec uścisnął moją rękę, i wyczytałem w jego wilgotnych oczach wyraz, który mi przypomniał twoje spojźrzenie kochany Jérzy, kiedy miałem szczęście ocalić twego brata.

Wyszliśmy wszyscy trzéj, a hrabia Fryderyk przyszedł zaraz za nami. — Stanęła wnet umowa że pojedynek od-

będzie się dziś rano, na szpady. Potem wróciliśmy wszyscy do salonu, oświadczając że się sprawa załatwiła w sposób spokojny z honorem dla obydwóch stron. Jednak zabawa nieszła już ochoczo i wkrótce zaczęli się rozjeżdżać goście, i ja odjechałem z Zuzanną.

Noc była tak piękna żeśmy kazali spuścić dach od powozu. Spokojna cisza którą oddychała uspiona natura, rozprószyła zwolna wspomnienia i wrażenia sceny, któréj przed chwilą byłem świadkiem, myśli moje wzięły inny kierunek. Nigdy jasność najpiękniejszego dnia niemiała dla mnie uroku takiego jak uroczyste i smętne światło nocy letniéj. Z wzruszeniem patrzałem na ciemny błękit nieba zasiany milionami ogniów. Widziałem gwiazdy z których każda jest światem, ściśnięte w przestworze jak brylanty w skrzyneczce. I ten widok miałby być tylko czczą ozdobą naszych nocy. Miałażby tylko jakaś dzika duma rozkładać te skarby przed naszémi oczyma, jak jubiler rozkłada przed oczyma ubogiego błyszczące bogactwa, których ręka jego nigdy się niedotknie? — Takie myśli snuły mi się po głowie. Potem spojźrzałem na Zuzannę. Siedziała z założonemi ramionami. Łono jéj drżało jeszcze po znużeniu balowém. Nasunęła na głowę kapiszon swéj mantyli: w téj jedwabnéj oprawie, blade oblicze jéj jaśniało jak zorza poranna; dziwną jakaś przejźroczystość, jakieś tajemnicze zachwycenie, niewymowny pokój wylany na jéj całéj postaci, czynił ją podobną do istoty nadludzkiéj. — Ci co powiadają o Zuzannie, że jest tylko ładną, nieoceniają jéj dokładnie.

Zbliżając się do Chesny, widać na wzgórzu po prawéj ręce od drogi, mały kościołek miasteczka. Jechaliśmy zwolna pod górę i mogliśmy rozróżniać poza parkanem otaczającym kościoł stare brzozy symboliczne i krzyże na grobach. Zuzanna niemoże nigdy bez głębokiego wzruszenia ominąć tego skromnego cmentarza, na którym spoczywają zwłoki jéj matki. Nagle ocknęła się z swego spokojnego marzenia i rzekła do mnie po chwili namysłu. — Czy niesądzisz pan, że noc — taka noc jak dzisiejsza żywsze w nas obudza wspomnienie o tych, których już niema? — Odpowiedziałem że tak jest w saméj rzeczy, dodając że takie jest naturalne usposobienie serca ludzkiego iż naprzemian doznaje silniejszych wrażeń, a opuszczając wesołą wrzawę balu, dusza nasza zwraca się prawie mimowolnie ku poważniejszym myślom. — Gdybym się nie obawiała, dodała Zuzanna, chciałabym prosić pana o coś... — Mów, moje dziécię. — Ale to żądanie wyda się panu zachceniem romantyczném... nie na swojém miejscu... może nawet śmieszném?.. — I wskazała mi wzrokiem na smutną zagrodę małego cmentarza. — Kazałem stanąć. Podałem jéj ramię. Po wschodach na pół spruchniałych weszliśmy furtką na cmentarz i poprowadziłem ją uchylając wysokie zioła zwilżone rosą, aż na grób którego szukała. Uklękła na mogile, a ja usiadłem w niejakiéj odległości u stóp odwiecznego cisa.

Podczas gdy się modliła, przypomniałem sobie mimowolnie wszystko com się dowiedział i czegom się domyślał o długiém męczeństwie zakopaném pod mogiłą. — Mówiłem ci już o matce Zuzanny. — Powiedz-że mi kochany Jérzy, — jeżeli jéj sen ostatni tak jest głęboki, że nawet głos jéj dziecka nie jest wstanie przerwać go, czyliż nieokupiła go zbyt drogo? Osądź sam: ta kobiéta znosi przez dziesięć lat z pogodném czołem z anielską łagodnością, zelżywą obecność nikczemnika który swemi zdradami gotuje jéj niedolę; przez drugie dziesięć lat zaciéra niezmordowaną ręką ślady rozrzutności, któréj gorycze tylko dostały się jéj w udziale... a gdy wkońcu promień radości zdawał się oświécać jéj biédne życie, zaledwie piérwsze szczęśliwe jéj spojźrzenie spoczęło na głowie córki, — gaśnie, umiéra. — Jeżeli w tym dniu wszystko skończyło się dla niéj, cóż przebóg! ma znaczyć to uczucie sprawiedliwości które obiega w żyłach naszych z krwią naszego serca?

Byłem jednym z największych niedowiarków, i jestem jeszcze jednym z największych sceptyków pomiędzy dziećmi mego wieku; ale przynajmniéj niebiorę upadku mego ducha za znak tęgości: wszak zwątpienie jest łatwe i słabe, zwątpienie jest-to bezwładność i nieudolność.... Więc wszystko co sięga po nad śmieszną wysokość naszych wyobrażeń i poza obręb codziennéj rutyny, musi być niedorzeczne i niemożliwe?... Dobrze! — Ale to nie uchyla wcale zagadki... zawsze naszemu rozumowi zawadza ziemia i niebo i życie i śmierć, a cud największy niebo zasiane gwiazdami nieprzestaje mimo to uderzać nasz wzrok niedowierzający, nieprzestaje oświécać kolébki i groby... Kwestya stoi jak skała niewzruszona, niedocieczona przed naszémi oczyma — a im więcéj się w niéj zagłębiam, tém usilniéj nasuwa mi się myśl o Bogu, o nieśmiertelności duszy, o nauce Chrystusa. — Wszystko jest lepsze od zwątpienia.

Zuzanna wstała i biorąc znowu moje ramię, rzekła cichym głosem: Dziękuję panu... Takiś pan dobry... bo ja wiem że pańskie wyobrazenia są inne. — Moje wyobrażenia! czy uważasz kochany Jérzy — ona mnie ma za zwierzę, to pewna. — Jakiś pan dobry! — Któżby nim nie był dla niéj?

Juliusz Bailly czeka na mnie o pół do piątéj przed kratą dziedzińca. — Muszę odejść. — Oby Bóg ochronił tego młodzieńca!

Siódma godzina.

Pan Laubriand został lekko ranny w ramię. Okazał się bardzo przyzwoitym: otrzymawszy ranę podał rękę panu Bailly z szczérością która mu zjednała mój szacunek. — Być może że mu wiele na tém zależy żyć w zgodzie z mężem méj żony. Na każdy sposób powiodło mu się. — Sprowadziłem pana Bailly do zamku. Spotkaliśmy Zuzannę na porannéj przechadzce. Skrzyknęła, drżała chwilkę jak przynależało, a wkońcu zaprosiła zwycięzcę na śniadanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aj gdyby żony wiedziały!

Krotofila w 1. akcie wierszem,

przez

Ksawerego Godebskiego.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 23. 24. 25. 26. 27. 28. Rozmaitości.)

Scena 22.

Janusz — Roman.

Janusz *(na stronie.)*

Zacząć sam nie jestem w stanie:
Zaczekam aż zręczność poda.

Roman *(nie widząc Janusza.)*

Co za szczególna przygoda!.
Spotykam żonę moją niespodzianie;
Znoszę wymówki i słyszę zdziwiony,
Żem się zalecał do Janusza żony...
Biedak wié już o wszystkiém... skrewiłem szka-
(radnie:
Rzecz na sucho nie przejdzie i bić się wypadnie:
Tak z najlepszéj komitywy
Pojedynek niewątpliwy.

(spostrzega Janusza.)

To on!.. trzebaby zacząć... to sztuka, od czego?

(głośno.)

I cóż tedy, Rotmistrzu?

Janusz *(żałośnie.)*

No — i cóż kolego?

Roman *(na stronie.)*

Jakoś się nie wiążą słowa:
Złam podobno wybrał porę.

Janusz *(na stronie.)*

Wstyd mi jakoś... rzecz nie nowa:
Czapka na złodzieju gore:

Roman *(głośno.)*

Zgadłeś zapewne, poco tu przychodzę?

Janusz.

Łatwo odgadnąć.

(na stronie.)

Nie spóźnił się w drodze.

Roman *(rezolutnie.)*

Jestem gotów ci służyć.

Janusz *(podobnie.)*

Czekam na rozkazy.

Roman.

Chciéj mi proszę wybaczyć.

Janusz.

Przepraszam sto razy.

Roman *(na stronie.)*

Nie pojmuję téj flegmy.

Janusz *(na stronie.)*

Czy krwi w żyłach nie ma?

Roman *(na stronie.)*

Zacznijmy z innéj beczki.

Janusz *(na stronie.)*

Trzeba zmienić tema.

Roman *(z żywością.)*

Nie suszmy sobie głowy.

Janusz.

Rozprawy bierz diabli!

Roman.

Poco długo rozprawiać, gdy każdy przy szabli?

Janusz.

Szablę wolisz?

Roman.

Wolałbyś może pistolety?

Janusz.

Jak zechcesz.

(serdecznie.)

Wierz mi proszę, radbym żebyś nie ty,
Lecz kto inny...

Roman *(ściskając mu rękę.)*

Rozumiem... niech nas to pocieszy,
Że nikt tutaj rozmyślnie w téj sprawie nie grze-
(szy.

Janusz.

Ślepy los wszystko zrządził — nie szukajmy
(winy.

Roman.

Słusznie mówisz — mogliśmy pomylić się oba:
Rzeczywista fatalność! któżby zgadł u kata!
Że pod tym prostym strojem mieszczańskiéj
(dziewczyny...

Janusz.

Gryzetki, że tak powiem...

Roman.

Kryje się osoba
Wyższego urodzenia...

Janusz.

Wykwintnego świata.

Roman.
Wnioskujesz jak Sokrates.
Janusz.
Sądzisz jak Seneka.
Roman *(na stronie.)*
Poczciwa dusza!
Janusz *(na stronie.)*
Nie znam lepszego człowieka.
Roman.
Zakończymy jak ludzie szlachetni i prawi;
A jeżeli z nas jeden ma dziś zasnąć w grobie,
Będzie miał tę pociechę, że tutaj po sobie
Nienawiści w kolegi sercu nie zostawi.
Janusz.
Co do mnie, przyjaźń moja nie łatwo się zmienia.
Roman.
Możem się więc zarąbać bez zgryzot sumienia.
Janusz.
Idźmy!
(zabierają się do wyjścia.)
Roman *(zatrzymując w drodze Janusza.)*
Czy wierzysz? — Nie raz widziałem (śmierć z bliska
Dziś czuję wstręt do walki i żal serce ściska.
Janusz.
Mnie to samo.
Roman *(żałośnie.)*
Zwyczajne rozczulenia skutki:
Przyjaźń nasza tak dawna — a gniew był tak (krótki!
I gdyby nie ta jedna okoliczność słaba...
Janusz *(rozrzewniony.)*
Przestań, bo gotów jestem spłakać się jak baba,
Uściskajmy się!
Roman.
Z duszy!
(ściskając się serdecznie.)
Tak jestem strapiony...
No proszę — jedna płochość — głupstwo co się (zowie...
Gdyby nie ten nieszczęsny przyjazd twojéj żony...
Janusz *(odskakując.)*
Chciałeś mówić o swojéj.
Roman.
Miesza ci się w głowie:
Wszak tu chodzi o twoją?
Janusz.
Broń Boże! o twoją.

Roman.
Zrozumiejmy się przecie, jak te rzeczy stoją:
Mamy się bić, że ślepym wiedziony zapałem,
Nie znając twojéj żony — i ztąd cała wina —
Na nocną schadzkę ze mną namówić ją śmiałem.
Janusz *(zapalając się.)*
To fałsz! Bić się wychodzę, że piękna Celina,
Zamieszkała od wczora oto w tym pokoju,
(pokazuje na Nr. 2.)
Złudziwszy mnie obejściem i gminnością stroju,
Przyjęła mnie u siebie z łaskawym pospiechem.
Któryby mnie zachwycał, gdyby nie był grze- (chem
Przeciw tobie...
Roman *(z wybuchem.)*
To nadto! I kłamstwo i zdrada!
Żona moja w téj chwili z pojazdu wysiada.
Janusz.
Dla tegomto nad twoją zimną krwią się zdumiał.
Roman.
Jam sobie wytłumaczyć flegmy twéj nie umiał
Bo żona twoja mieszka tu od wczora...
(pokazuje na Nr. 4.)
Co daléj zaszło... powtarzać nie pora.
Janusz *(na stronie.)*
Przebóg! — Byłożby prawdą?.. Ów kłopot (Ludmiły...
Owe niebezpieczeństwa, które ją trapiły...
(zapalczywie.)
Dosyć tych zeznań krzywdzących mój panie:
Całą krwią swoją odpłacisz mi za nie. —
(porywają się z wściekłością do wyjścia.)

Scena 23.

Janusz — Roman — Ludmiła — Celina.

Ludmiła *(zatrzymując Janusza.)*
I o cóż takie gniewy?
Celina *(zatrzymując Romana.)*
Co znaczy ta wrzawa
Która nas obie przestrasza?
Janusz *(odpychając Ludmiłę.)*
Dajże mi pokój proszę.
Roman *(odpychając Celinę.)*
Zbyt jesteś ciekawa.
Ludmiła.
Czyście z rozsądku wyzuci?
Janusz *(zapalczywie.)*
Puśćcie nas, bo zemsta nasza
Przeciwko wam się obróci.

Ludmiła i Celina *(przytrzymując ich.)*
Słuchajcież!

Janusz i Roman.
Krwi nam trzeba.

Ludmiła.
Pomysł dość ladaco:
Krwi tutaj żadna nie wymaga strona;
Bo zemsta nasza już zaspokojona,
A panowie się oba mścić nie macie za co.

Janusz.
Cóż to wszystko ma znaczyć?

Ludmiła.
Rzecz objaśnić muszę:
Płacąc panom obiedwie według ich zasługi,
Chiałyśmy im na chwilę dać poznać katusze,
Których już z łaski panów doznajem czas długi.

Roman.
Nie rozumiem.

Janusz.
Ani ja — Idźmy!

Ludmiła.
Ależ przecie
Słuchajcie końca — potem róbcie co zechcecie:
Na głupstwo zawsze dość czasu zostanie.
Prawda, żeśmy od wczora przybyły tu obie;
Żem najęła ten pokój — Celina ten sobie...
Aleśmy na noc zmieniły mieszkanie.
Otóż cała zagadka.

Roman *(do Janusza.)*
Teraz się nie dziwię
Zrobiły widać spisek.

Janusz *(podobnież.)*
Wywiodły nas w pole.

Roman *(podobnież.)*
Trzeba przyznać, że wszystko kończy się (szczęśliwie.

Janusz *(podobnież.)*
Najszczęśliwiéj — Co do mnie, ja ten koniec (wolę.

Roman *(do kobiet.)*
Jeszcze słowo — Jesteścież pewne moje damy
Żeście się nie zmyliły?

Celina.
Na to dowód mamy.
(pokazując mu pierścionek.)
Któż mi dał ten pierścionek przysiągłszy w za- (pale
Że aż do saméj śmierci kochać będzie stale?

Roman *(rzuciwszy okiem.)*
Trudno nie przyznać.
(na stronie.)
Moja obrączka ślubowa!
(głośno.)
Lecz jakżem cię nie poznał?

Ludmiła *(pokazując pierścionek Januszowi.)*
Pan też bez wątpienia
Zechcesz poznać ten zakład.

Janusz *(opatrzywszy pilnie.)*
Ten sam — ani słowa —

Ludmiła.
Zakład miłości, któréj celem była inna.

Janusz *(klękając.)*
U nóg twoich Ludmisiu błagam przebaczenia.

Roman *(klękając przed swoją żoną.)*
I moja Cesia jużby zmiękczyć się powinna.

Scena 24. i ostatnia.

Poprzedzający — Pani Bargeld.

Pani Bargeld *(osłupiała widokiem klęczących.)*
Otóż masz! wszystko czworo! — Im daléj tém (lepiéj!
(z żałośném uniesieniem.)
Na miłość boską, cóż państwo robicie,
Czyście na moje sprzysięgli się życie?

Janusz *(powstając i pokazując na Ludmiłę.)*
Moja żona!

Roman *(podobnież.)*
To moja!

Pani **Bargeld.**
Bardzo mnie to cieszy:
Szkoda że co przylgnęło, nikt już nie odczepi. .
Bo też ten niedźwiedź Bargeld zawsze się po- (spieszy...

Celina *(dając jéj sakiewkę.)*
Jeżli to może zmniejszyć twe żale...

Pani **Bargeld** *(dygając.)*
O skuteczności nie wątpię wcale.
Przecież mamy ład w domu po kłopotach wielu.

Janusz.
Wszyscy teraz jak widzisz stają do apelu.

Ludmiła.
Dobranoc, moje dziécię!

Pani **Bargeld.**
Spijcie państwo zdrowi!
Biegnę donieść o wszystkiém memu niedźwie- (dziowi:
Przytnę mu choć raz pazury.
(spoglądając złośliwie na Janusza.)
A jeśli z tych panów który
Nie bardzo tęsknił do żony z powrotem;
Lepiéj że żona nie dowie się o tém. —

Zasłona spada.

(Autor zastrzega sobie prawo własności.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*